

Hans Ernst

ZBÓJCY

Było to jeszcze za „starych dobrych czasów”, gdy w bogatej w lasy okolicy naszej górnobawarskiej krainy grasowali zbójcy.

Nocami napadano na domostwa, z pastwisk kradziono krowy i w ogóle kradziono wszystko, co nie było przynitowane lub przygwożdżone. Działo się tak od lat, gdyż nie można było dorwać tych śmiałych wyrostków. Było tak, jak gdyby miejscowi byli z bandą w zмовie, ponieważ gdy tylko pojawiali się żandarmi, nagle nikt nic nie wiedział i urzędnicy mogli co najwyżej zdać się na to, co zastali na miejscu zdarzenia. Każdy ślad rozmywał się w nieskończonych gęstwinach lasu.

Komendant miejscowego posterunku żandarmerii – wówczas nazywano go jeszcze komisarzem – był zrozpaczony i zwrócił się do przechodzącego obok niego wachmistrza, aby ten zapalił przed Czarną Panienką Marią z Altötting grubą świecę, kiedy w końcu wpadnie na jakiś trop. Poza tym był w serdecznym nastroju, gdyż wkrótce miał on osiągnąć wiek emerytalny, choć z okręgowego komisariatu przyszły jedna po drugiej: nagana i reprimenda.

W jednym z pism zarzucono panu komisarzowi, że nie ma w sobie zmysłu intuicji. Wytykano mu również niezadowolający stosunek do służby. Stary urzędniczyna aż zmizerniał z niezadowolenia i osiwił od trosk o niesłuszne zarzuty.

Po tym jak sytuacja stała się jałowa, swój przyjazd zapowiedział sędzia okręgowy, aby samemu doglądnąć spraw.

Pewnego upalnego letniego dnia zajechał on z czterema towarzyszami otwartą bryczką Landauera do gminy. Zatrzymali się przy knajpie pocztowej. Jakaś kucharka musiała szybko donieść burmistrzowi o przyjeździe urzędników, tak że ten musiał natychmiast do nich przybyć.

Burmistrz Stöcklmayr zajęty był pracą na roli i zupełnie bez szacunku oznajmił przybyszom, że nie ma dla nich czasu, chyba że gdyby panowie przedarli się przez łąny pszenicy, to wszystko poszłoby sprawniej. Jeśli nie, musieli poczekać i równie dobrze mogli już sobie urządzić przerwę obiadową.

Sędzia okręgowy zmarszczył czoło z powodu nieposłuszeństwa burmistrza i niechętnie zapytał, cóż to za gmina, w której wybrano burmistrza tak kiepsko wypełniającego polecenia.

Po chwili urzędnik zaprosił towarzyszy do pokoiku, w którym chciał omówić bieżącą sytuację. Rozłożył sporą mapę, po której krążył palcem, jakby mieszał w rondlu, aby

nie spalić gotującej się zupy. Obaj żandarmi omal zaniemówili z wielkiego zdziwienia wobec planu, jaki przedstawiał im komisarz. Wystarczyło zatem wślizgnąć się pod poszycie leśne i złapać zbójców na gorącym uczynku.

Pan urzędnik nie przebiegał w słowach i rozkręcał się gwałtownie, jak gdyby sam był żandarmem, który arestuje cały tuzin zbójców. Po chwili wygłosił treściwy wykładzik o samoobronie i nowych rodzajach ścigania przestępców i dodał, że sam chciałby prowadzić taki patrol w górskim lesie. Spojrzał na zegarek i rzucił:

„No, jesteście już zmuszeni zjeść jakiś podwieczorek i napić się, do czasu, gdy pan burmistrz zechce się do nas zgłosić. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, żeby dla włodarza ważniejsze od komisarza było pole pszenicy! – Cóż można tu u was zjeść, panie gospodarzu?”

Szef knajpy podrapał się w ucho i wyjaśnił:

„Słoninę mamy albo salceson czarny w occie i z olejem. A może chcą panowie coś na ciepło? Na kolację będzie ciepła zapiekanka albo jakieś kaski ze świniobicia”.

Jednomyślnie zamówiony został czarny salceson w occie i oleju ze sporą ilością cebuli. Do tego piwo. Tylko pan komisarz poprosił o kufel radlera, aby mógł pozostać w dobrej formie na leśny pościg.

W końcu zjawił się burmistrz. Prosto z pola wszedł do pokoiku, z zakasanyymi wysoko mankietami koszuli, w upiętym niebieskim fartuchu ze ściągniętym z czoła słomianym kapeluszem.

„No, tak można czekać!”, roześmiał się do mężczyzn i zamówił również sobie kufel piwa.

Piwo rozlewało się bystro przez zeschnięte gardziele i szumiało w czubach. Szef knajpki powiedział, że będzie dla niego zaszczytem móc ugościć tak zacnych przybyszy i ufunduje z tej okazji kufel trzylitrowego piwa, czym odwdzięczy się za wizytę szanownych gości. Słowem, razem z ilością stawianych kufla polepszała się atmosfera. Pan urzędnik już dawno porzucił kufel swojego radlera na rzecz wybornego piwa. Nikt już nie myślał o pościgu.

Stał się wieczór, gdy wszyscy siedzieli jeszcze razem, już nie tak sztywno jak na początku, tylko nieco rozluźnieni. Inspektor okręgowy Weinzierl przewiesił swoje ramię przez szyję wachmistrza Haberla, mówiąc, że jest jego bratnią duszą. Nadinspektor Bimshofer śpiewał razem z burmistrzem sprośną piosnkę o dziewczusce, która miłość traktowała dość frywolnie. Sekretarz Reiter gładził się po brodzie i obmacywał kelnerkę. Jedynie pan sędzia okręgowy trzymał fason. Ale jego okrągła twarz promieniała, utraciwszy już znacznie wcześniej wszystkie troski. Był w dobrym humorze i zwęzał wargi tak, jakby chciał zagwizdać. Gospodarz knajpki miał mu już zdradzić sekret przyrządzania białej kielbasy, ale potrząsnął tylko głową i rzekł:

„To jest tajemnica służbowa, drogi panie komisarzu! Serce kobiety i zawartość kielbasy pozostaną na wieki nieodgadnione”.

W końcu trzeba było pomyśleć nad drogą powrotną. Jednak naprzód trzeba było znaleźć woźnego Loidla, który pracował również jako woźnica. Wołali za nim długo, aż w końcu wyłonił się swym ognistoczerwonym łbem z szopy.

Nad wsią błyszczały już gwiazdy, kiedy Loidl zaprzęgał konie do bryczki Landauera. Pan komisarz zanim wsiadł, chwycił znacząco za rękaw burmistrza i powiedział mu chłodno:

„Oprócz raportu żandarmerii chcę otrzymać od Pana dokładny meldunek o dalszym działaniu zbójców”.

„Zrobi się. Możesz być pewien, komisarzu, że sprawozdanie wyślę ci o czasie!”

Pan sędzia okręgowy chciał jeszcze dodać, że nie wie, czy właściwym było bratanie się z burmistrzem Stöcklmayrem, żeby nie zrozumiał opacznie tego braterskiego przejścia na ty. Ale Stöcklmayr zamrugnął mu tak dobroduszenie i tak ufnie, że urzędnik aż musiał się uśmiechnąć.

Landauer toczył się przez okrytą nocą wieś i z daleka zdawało się jeszcze słyszeć knedlowy tenor inspektora Bimshofera, niosący się razem z płynącym stukotaniem końskich kopyt. Nadal śpiewał on tę sprośną piosenkę o dziewczce.

Oficjalny powód wizyty urzędników miał z tym wszystkim zapewne niewiele wspólnego. Zbójcy mogli przecież przenieść swoją działalność do zamożniejszej okolicy. Jedno co pewne, to że od wizyty urzędników nie pojawiła się tam aż po dziś dzień banda zbójców, a pan burmistrz Stöcklmayr napisał zgodnie z obietnicą po czternastu dniach.

„Do najjaśniejszego Urzędu z informacją, że od pobytu Panów Urzędników nie pojawiła się żadna banda zbójców. Z uniżeniem: Xaver Stöcklmayr, burmistrz”.

NOTA BIOGRAFICZNA

Hans Ernst – ur. w Monachium w 1904 roku. W trakcie działań pierwszej wojny światowej przebywał w Glonn (niewielkiej wówczas wsi położonej na południowy wschód od Monachium), gdzie po raz pierwszy miał okazję zetknąć się z tradycyjnym rolnictwem bawarskim. Czas ten ukształtował jego wrażliwość pisarską, systematycznie konstituowaną poprzez tematykę jego późniejszych opowiadań, sztuk teatralnych i powieści. Swoich sił próbował Ernst jako aktor, jednak szybko porzucił to zajęcie na rzecz pisarstwa zakorzenionego w kulturze Bawarii, jej legendach i wiejskich podaniach. Folklor bawarski, obyczaje, mentalność i życie codzienne mieszkańców regionu stały się osnową jego licznych tekstów. Dużą wagę autor przywiązywał do natury (szczególnie górskiej, alpejskiej) i jej wpływu na wiejski byt, w dużej mierze uzależniony przecież od otaczającej przyrody. Ernst zmarł w 1984 roku, pozostawiając około 115 dzieł literackich. Jak do tej pory, żadnego z nich nie opublikowano w tłumaczeniu w Polsce.

Przełożył z języka niemieckiego i podał do druku Maciej Kubiak
Berlin